

Indie

1 listopada 2010

NAINI TAL

Każdy kraj ma swoją wakacyjną stolicę, polecaną gorąco przez biura turystyczne jako najlepsze miejsce do spędzania urlopu. W Indiach taką sławą cieszy się Naini Tal, niewielka miejscowość w północnej części stanu Uttar Pradesh, zwana też „Perłą Himalajów”. Jak na te góry to niewysoko, ok. 2000 m n.p.m., ale w gorące lato można tu odetchnąć trochę chłodniejszym powietrzem. Nasłuchawszy się od Hindusów o wspaniałościach tego miejsca, postanawiam odpocząć kilka dni w komfortowych warunkach.

Na niewielkim dworcu autobusowym agent hotelowy proponuje mi nocleg za sto rupii. Jak na Perłę Himalajów to wcale niedrogo, nauczony doświadczeniem zadaję szereg pytań. Czy jest toaleta, bieżąca woda, okno, meble, wentylator itp. Wszystko w najlepszym porządku, idę więc za nim, taszcząc ciężki plecak. Wspinamy się pod strome wzniesienie, trwa to dobre pół godziny. Na miejscu hotelarz, pokazując pokój mówi:

– Ten nadaje się w sam raz dla ciebie, kosztuje tylko trzysta rupii.

Odpowiadam, że przecież uzgodniliśmy sto rupii.

– Oczywiście, mamy i takie po sto, lecz w tej chwili wszystkie są zajęte.

Nawet nie jestem zaskoczony, tego typu sytuacje spotykają mnie na każdym kroku. Schodzę w dół, Hindus biegnie za mną, krzycząc najpierw dwieście, potem sto pięćdziesiąt, w końcu sto, „bo mnie polubił”.

Naini Tal wznosi się malowniczo wokół górskiego jeziora. Jest ucieleśnieniem hinduskich wyobrażeń o życiu w Europie czy USA.

Są tu niespotykane nigdzie indziej puby, pizzerie, budki z hot-dogami, nawet night cluby i dyskoteki. Na tutejsze ceny mogą sobie pozwolić tylko przedstawiciele bogatszej części społeczeństwa.

Wszystko jest jednak jakby odbite w krzywym zwierciadle, przesiąknięte ich własną kulturą i dzięki temu ma wręcz kuriozalny charakter. Przejęci Hindusi z namaszczeniem konsumują hamburgery i pizzę, niepodobne zresztą do ich europejskich odpowiedników. Ja korzystam na całego z tych rarytasów, bawiąc się przy tym fenomenalnie. Okolice Naini Tal są faktycznie przepiękne, kolejką górską wjeżdżam na punkt widokowy, skąd przy dobrej pogodzie można obserwować ośnieżone szczyty Himalajów. Biorę udział w konnej wyprawie na pobliskie wzgórze oraz wycieczce do pięciu jezior, rozsianych po okolicy. Czas płynie miło, bez żalu opuszczam jednak to wesołe miasteczko i postanawiam wracać do Indii.

WARANASI

Podróż koleją w Indiach to szczególne przeżycie – nigdy nie wiesz, kiedy dotrzesz do celu, co cię spotka po drodze i czy pociąg przypadkiem nie skręci gdzieś w bok. Zakup biletu na dworcu graniczy z cudem z powodu wielogodzinnych, tasiemcowych kolejek i jedyną szansą dla turysty są wyspecjalizowane biura, które odsprzedają bilety z co najmniej stuprocentowym zyskiem. Na najbardziej uczęszczane trasy bilet należy wykupić kilkanaście dni naprzód, na dworcu zwykle nie ma ich od miesiąca. Jest to czynnikiem determinującym – bez względu na to, jak się czujesz (a w Indiach prawie wszyscy przez pierwsze tygodnie mają problemy żołądkowe) – jechać musisz.

Moja podróż z Naini Tal do Waranasi rozpoczęła się obiecująco – korumpując kierowcę autobusu do Haldwani kwotą dziesięciu rupii, zasiadłem dumnie obok niego w szoferce, podczas gdy z tyłu panował potworny ścisk. Kolejnym autobusem dotarłem do Lalkua – pierwszej stacji kolejowej u podnóża Himalajów, gdzie przez cały dzień obserwowałem wałęsające się po torach krowy.

Do Lucknow dotarłem po jedenastu godzinach jazdy nocnym pociągiem – tylko dwie godziny opóźnienia. Pełen optymizmu przesiadłem się na pociąg do Waranasi. Według rozkładu po pięciu godzinach powinienem być u celu. Miejsce sypialne, na które wykupiłem rezerwację, jest zajęte przez kilka osób, ale uprzejmi Hindusi robią wszystko, abym i ja mógł się zmieścić.

Pierwsze dwie godziny pociąg jedzie w żółwym tempie, potem staje na maleńkiej stacji. Środek lata, ponad czterdzieści stopni, z nieba leje się żar. Po godzinie jestem bliski obłądu. Przeciskam się przez tłum, wyskakuję na zewnątrz. Jest więcej powietrza, za to brak osłony przed palącym słońcem. Dopadam do maleńkiej budki dróżnika.

– Dlaczego stoimy?

– Był telefon – dróżnik bezradnie wskazuje na aparat.

– A kiedy ruszymy?

– Jak będzie telefon – odpowiada łamaną angielszczyzną.

– Może za godzinę?

– Może.

– A może za dwie?

– Może za dwie.

– A może jutro?!

Dróżnik myśli marszcząc czoło.

– Sądzę, że to będzie jeszcze dzisiaj.

Ruszamy po pięciu godzinach.

Waranasi to miasto szczególne – zarówno dla Hindusów, jak i odwiedzających je turystów. Jego historia związana jest nieodwracalnie z Gangesem, uważanym tutaj za świętą rzekę.

Miasto rozciąga się wzdłuż południowego brzegu, przeciwległy przypomina pustynię. Codziennie tysiące mieszkańców Waranasi oraz przybyłych tu pielgrzymów z całych Indii, dokonują rytualnych kąpieli, mających oczyścić nie tylko ciało, ale i duszę. Hindusi wierzą, iż jeśli w momencie śmierci ciało zanurzy się w falach Gangesu, dusza uwolni się od kołowrotu reinkarnacji i osiągnie wyższy pułap rozwoju. Dlatego też niektórzy przybywają tutaj i leżąc nad brzegiem rzeki oczekują na śmierć. Zdarza się, że oczekują latami, żywiąc się tylko tym, co zostanie im ofiarowane.

Niekiedy rodziny transportują swych krewnych nawet tysiące kilometrów, aby po rytualnym spaleniu nad brzegiem świętej rzeki Ganga powierzyć ich ciała mętnym wodom. Przez cały dzień w specjalnej strefie unoszą się słupy dymu, a w dół spływają setki ciał. Tuż obok toczy się normalne życie – dzieci kąpią się w rzece, kobiety piorą bieliznę, a wszyscy piją wodę czerpiąc ją garściami. Nad brzegiem panuje tłok, w którym poruszają się krowy i kozy, a z dachów obserwują to wszystko stada półdzikich małp. Zdarza się, że jeśli ktoś zostawi otwarte okno, to małpy mogą wejść do środka i poczuć się tam zupełnie swobodnie. Ja straciłem dwie podkoszulki zawieszane na werandzie, natomiast do pokoju obok w samo południe weszła małpa i zabrała ze stołu butelkę piwa na oczach osłupiałych, siedzących tam dziewczyn. Małpa klepała się po brzuchu – najwyraźniej smakowało.

Na dworzec jadę riksą rowerową. Młody kierowca pędzi z zawrotną szybkością pośród tłumu pieszych, innych riks oraz zwierząt. Na godzinę przed odjazdem jestem na miejscu. Pytam pierwszego z brzegu, inteligentnie wyglądającego Hindusa.

– Czy wiesz z którego peronu odchodzi pociąg do Kalkuty?

– Show me your ticket (pokaż mi twój bilet) – odpowiada, po czym kieruje mnie na peron numer siedem.

Sprawdzam, na drukowanym po angielsku bilecie nie ma ani słowa

o peronie. Dwóch kolejnych zapytanych kieruje mnie w jeszcze odleglejsze miejsca olbrzymiego dworca. Do informacji nie sposób się dostać, długa kolejka. Wszystkie napisy w języku hindi.

Czas zaczyna się kurczyć, w ciągu godziny odchodzą dziesiątki pociągów. Zaczynam biegać wśród tłumu po peronach, pytając zawiadowców, którzy kierują mnie do kolejnych biur i pokoi, gdzie słyszę nieodmiennie:

– Show me your ticket.

A potem:

– There is no information on your ticket (nie ma informacji na twoim bilecie).

Po pół godzinie dopadam do wielkiego pokoju, w którym konferuje kilkunastu mężczyzn. Show me your ticket, choć zapewniam, że there is no information. Bilet przechodzi z rąk do rąk, twarze skupione, poważne. Werdykt: „There is no information” i polecają mi słuchać dworcowej szczekaczki, która ponoć mówi też po angielsku. Po godzinie, zdesperowany, taranuję strażnika z karabinem i wpadam do biura dyspozytora stacji. Ten odpowiada mi spokojnie, że nie wiadomo, na który peron skieruje pociąg do Kalkuty, ponieważ w tej chwili wszystkie są zajęte.

Siadam na plecaku, dając wyrażnie do zrozumienia, że nigdzie się nie ruszę. Wobec mojego biernego oporu pozwala mi czekać w swoim biurze i gdy pociąg nadjeżdża, kieruje na właściwy peron.

Waranasi zegna mnie widokiem ognia nad brzegiem Gangesu, które w końcu stapiają się w jedno ze świecącymi jasno gwiazdami.

Autor: Sławomir Kwiatkowski

Fragment książki „Dookoła świata po jeden dzień”

Nadesłano do „Wolnych Mediów”